

Dziady kowieńskie

TAKI tytuł nosi ostatnia premiera zaprezentowana w Teatrze Współczesnym. Już sam tytuł — zwrot występujący w podrecznikach historii literatury — dla podkreślenia może nie tyle miejsca, w którym utwor powstał, ile czasu, okresu w życiu autora — sugeruje, że oto mamy do czynienia z czymś, czego dotąd nie było. Bo przecież „Dziady” — nie tak znów często wystawiane na naszych scenach — inscenizowane były dotąd w całości: tzn. traktowane jako całość składająca się z „Dziadów” Części II, IV i III.

Tak się jednak złożyło, że idea zerwania z dotychczasową praktyką zrodziła się niemal jednocześnie także w Teatrze Małym. Tam, nieco wcześniej, mogliśmy zobaczyć inscenizację części III. Dowcipniejsie powiadają: mamy więc całość. Oczywiście — nie. Interpretacja Hamszkiewicz i interpretacja Kreczmar różnią się zasadniczo, mają całkowicie odmienne stylistyki, idą w tak różnych kierunkach, że mówienie o nich łącznie mało ma sensu. Ale faktem może właśnie potwierdzać słuszność decyzji o oddzieleniu „Dziadów” kowieńskich od drezdeńskich.

Jerzy Kreczmar „Dziady” kowieńskie wprowadził na scenę z ogromnym pletzemem dla tekstu i woli poety: tekst skrócił oszczędnie, uwzględnił mickiewiczowskie didaskalia. Czy widząc taką wierność autorowi możemy przyjąć, że inscenizator starał się pokazać ów dziwny dramat — budzący na początku XIX w. wiele kontrowersji i sporów — tak, jak go widział młody Mickiewicz?

Oto obrzęd dziadów — wywodzący się z czasów pogańskich uroczystość ludowa, już przetworzona przez chrześcijaństwo, obciążona funkcją dydaktyczną. Kreczmar też część inscenizacji opatrzył słowem: moralitet. Tym samym położył nacisk na wychowawczą rolę obrzędu. W konsekwencji jest on nie tyle przeżywany, co odgrywany — z dystansem. Ów dystans pozabawia uroczystość wszelkiego nastroju. Niby jest ciemno i straszno, bucha ogień, snuje się dym, ale zjawy — ukazujące się ku przestrodze — grozy nie budzą, a raczej śmieją: zwłaszcza aniołki — różowy i niebieski — przywodzące na myśl prowincjonalny teatrzyk amatorski. Czyżby „Dziady” miały być właśnie li tylko amatorskim przedstawieniem, którego uczestnicy zacierpnęli z dawnego obrzędu wyłącznie konwencję, sztafaż, rekwizyt — by nauczać?

Część IV opatrzył Kreczmar słowem: dramat. A obie zespółi ostatnią sceną, w której pojawiają się uczestnicy obrzędu i kończą całość strofą o dydaktycznej treści wysnutej z losów Pustelnika-Gustawa. Jest więc ta część, mimo odmiennego hasła wstępnego, dalszym ciągiem moralitetu. W konsekwencji — równie chłodna. Jan Englert kreujący Pustelnika-Gustawa, przez blisko godzinę na recytację, to śpiewa mickiewiczowskie strofy: pieknie, lecz z dystansem tak dużym, że ani przez chwilę nie udaje się zapomnieć, iż mamy do czynienia z aktorem, którego trzeba podziwiać za mistrzowskie opanowa-

nie tekstu — tekstu męczącego widza. Aktor bowiem nie przeżywa a przedstawia, ciągle abstrahując celom dydaktycznym ludowego spektaklu. Kiedy zaś staje w środku sceny ze sztyłem sterczącym z krwawej rany — jest jak te aniołki.

Chłodni, zdystansowani są wszyscy aktorzy: Andrzej Stocinger (Guślarz), Zdzisław Mrożewski (Ksiądz) i ponad trzydziestoosobowy zespół w rolach wieśniaków — uczestników obrzędu i zjaw. Możliwe z wyjątkiem Wiesława Michnikowskiego, którego Widmo szarpane przez płaki ma w sobie mniej sztuczności, więcej prawdy nasyconej emocją.

Jest to inscenizacja wyjątkowo konsekwentna. I bardzo interesująca — przede wszystkim dla teoretyków teatru i literatury, historyków. Tych jednak, którzy wybrałby się na ul. Mokotowską w poszukiwaniu przeżyć, trzeba uprzedzić: przeżyć w tym spektaklu nie ma. Jest on ciekawy z teatralnego punktu widzenia, lecz rozczarowuje. Bo romantyczny utwór został w nim pozbawiony cech smakujących epokę, która go zrodziła. Czy więc Kreczmar, będąc tak wierny Mickiewiczowi, był mu rzeczywiście wierny — we wszystkim?

RENATA WOJDANÓWNA

Teatr Współczesny: „Dziady kowieńskie” Adama Mickiewicza, reżyseria — Jerzy Kreczmar, scenografia — Jan Polewna, muzyka — Bernadetta Matyszczyk.